

na „Pogorii” była lekcja wychowawcza prowadzona wspólnie przez ojca i syna na temat „Wyższość ustroju kapitalistycznego socjalistycznego nad ustrojem kapitalistycznym socjalistycznym (niepotrzebne skreślić)”. Senior wykazał zalety kapitalizmu nie ukrywając jego wad, junior — zupełnie na odwrót. Nie wiem, o czym w końcu chłopcy zostali przekonani, bo obowiązki żeglarskie przeszkodziły mi w wizytowaniu tej lekcji, ale sądzę, że podporządkowali się, jak zwykle, zdaniu kapitana.

Żegnając się w Male z „Pogorią”, pan Bolesław miał łzy w oczach, a ze szczególnym wzruszeniem wspominał wieczór piosenek śpiewanych w kameralnym gronie kadry, a właściwie tylko jej starszej części. Piosenek nie znanych już Kaczorom, bo kto dziś pamięta np. „Tajoj mnie nazywają” — żartobliwą śpiewkę o Lwowie, rodzinnym mieście Baranowskich.

15. WŚRÓD KOLOROWYCH ATOLI

Wykorzystując początkowo przychylne, a potem zmienne wiatry i silnik, żeglując na przemian w skwarze i ulewnych deszczach, dotarliśmy po trzech dniach na...

Male diwy

To nietypowy kraj prawie dwóch tysięcy kolorowych wysp zgrupowanych w dziewiętnastu wielkich atolach. Każdy atol to ogromna bariera raf skrytych przeważnie tuż

pod powierzchnią morza i otaczających wiele wysp, z których każdą okrąża jeszcze jej własna rafa. Jeśli znajdzie się dostatecznie głębokie przejście w zewnętrznym pierścieniu rafy atolu, między jego wyspami znów można żeglować w miarę swobodnie.

Male diwy rozciągają się wąskim, około stumilowym pasem wzdłuż siedemdziesiątego trzeciego południka długości wschodniej między 8°N i 1°S. Tylko dziesięć procent wysp jest zamieszkałych w sumie przez około sto sześćdziesiąt tysięcy ciemnoskórych, czystych, sympatycznych, mających poczucie godności i uczciwych ludzi. Na czele Republiki Male diwów stoi prezydent wybierany raz na pięć lat przez parlament, składający się z czterdziestu sześciu posłów, z których trzydziestu ośmiu jest wybieranych (dwóch z każdego atolu), a ośmiu mianowanych przez prezydenta. Państwo jest doskonale zorganizowane (może dlatego, że wszystkie jego ministerstwa mieszczą się w jednym dwupiętrowym budynku). Są szkoły, rozgłośnia radiowa, stacja telewizyjna, dwa szpitale, stacja łączności satelitarnej, wyspa-lotnisko, wyspa-więzienie, wyspa-dom dziecka, wyspa-dom spokojnej starości.

W stolicy, którą jest kilkunastotysięczne, według niektórych kilkudziesięciotysięczne (w co wątpię) miasteczko Male, położone na największej wyspie atolu o tej samej nazwie, można kupić wszystko, co do życia potrzebne. Sam się zastanawiałem, czy nie kupić czajnika, bo w Polsce, gdy wypływaliśmy, były z tym trudności, ale wstyd mi się zrobiło wieść z Male diwów czajnik zamiast np. wypchanego żółwia. Celnicy w Gdyni pękliby ze śmiechu. Jeśli kogoś na to stać, może tu sobie zafundować nawet cztery żony, bo panująca religią jest islam. Jedyne kolejki, jakie tam widziałem, były po wodę, choć w zasadzie jej nie brakuje. Wodę czerpie się z nielicznych studni, ale jest ona słonawa, bo wyspy są

niskie, ich wysokość nie przekracza trzech metrów nad poziom morza. Częściej praktykuje się łapanie deszczówki. Są kłopoty z dostarczaniem wody na statki, które stają na kotwicy poza portem, bo w jego obrębie głębokości nie przekraczają dwóch metrów. Transport wody trwa długo i drogo kosztuje. Za tonę wody płaciliśmy tu od jedenastu do dwudziestu jeden dolarów; dla porównania w Europie woda kosztuje ok. jednego dolara za tonę.

Historia Malediwów ginie w pomroce dziejów, wiadomo jednak, że wyspy te zostały zasiedlone przez przybyszów z Cejlonu i Półwyspu Indyjskiego. Kiedyś panował tu buddyzm i hinduizm, a język, którym posługują się mieszkańcy wysp, jest zbliżony do cejlońskiego z dużą domieszką arabskiego. Ta domieszka to wynik późniejszej arabskiej kolonizacji, która przyniosła z sobą islam i wyparła dawne religie. Od tego czasu Malediwy były zawsze niepodległe i jedynie przez pewien czas pozostawały pod angielskim protektora-tem, ale nigdy nie były kolonią — co z naciskiem podkreślają tubylcy. Republiką są dopiero od 1968 roku; wcześniej były monarchią, rządzoną przez sułtanów. Pałac i ogród sułtański są dziś obiektami muzealnymi.

Z czego żyją Malediwczy? Zawsze byli samowystarczalni, jak każdy biedny, prymitywny, lecz szczęśliwy naród mieszkający w błogosławionym klimacie, gdzie palmy same rodzą, a morze roi się od ryb. Oczywiście, postęp zakłócił tę idyllę, wymusił import, a ten prowadzi do wzmożonej pracy dla eksportu. Republika ma trzy źródła dochodu: eksport ryb i ich przetworów, eksploatację kilkudziesięciu statków oraz turystykę.

Turystyka jest silnie rozwinięta. Wyspy zostały ostatnio „odkryte” przez Niemców. Jest ich tu pełno. Stateczki i jachty pełne nudystów rozkoszujących się równikowym słońcem, specjalna wyspa, na której nie obowiązuje prohibi-

cja, w sklepach napisy: „Wir sprechen Deutsch”, co mi zawsze przypomina inny napis: „Nur für Deutsche”. Ale nie ma obawy. Do tego nie dojdzie. Jest tu też wielu turystów innych narodowości, a bystry obserwator zauważy, że licząca sześćset osób armia i służba bezpieczeństwa jest dobrze uzbrojona.

Malediwczycy są dobrymi marynarzami i wielu z nich pracuje za granicą, na statkach obcych bander. Jeden z nich opowiadał mi, że pływał u arabskiego armatora razem z Polakami, i ciepło się o nich wyrażał. Był to jedyny polski akcent na Malediwach. Wszędzie na trasie całej naszej podróży spotykaliśmy Polaków. Tylko tu, oprócz nas, nie było ani jednego rodaka, a „Pogoria” była pierwszym polskim statkiem, jaki zawinął w te strony.

Ostrożnie lawirując między sygnalizującymi obecność raf plamami turkusowej wody, „Pogoria” sforsowała wąskie przejście w koralowym wieńcu, otaczającym kilkadziesiąt wysepek składających się na kształt Atolu Male, i stanęła na kotwicy. Czas był najwyższy, bo słońce chyliło się ku zachodowi, a w pobliżu równika tonie ono w morzu nie tak wolno jak u nas, gdzie po skośnym łuku zbliża się do widnokręgu i podobnie oddala od niego poniżej jego linii, dzięki czemu dużo czasu upływa, zanim zmierzch ustąpi miejsca nocy. Tu słońce spada szybko, prostopadle do horyzontu i wkrótce po zachodzie następują ciemności.

Na całym Archipelagu Malediwów jest tylko jedna latarnia morska i to daleko od Male. Nie ma pław, tyk, nabieżników, nie ma nic, co mogłoby pomóc przywykłemu do cywilizowanej żeglugi nawigatorowi. Zdarzają się wprowadzić pojedyncze światła nawigacyjne, wystawiane na niektórych wyspach, by ułatwić rybakom powrót z nocnego połowu, ale nigdzie nie są opisane ani zaznaczone na

mapach. Obcemu żeglarzowi mówią tylko tyle, że tam, gdzie świecą, jest jakiś ląd.

Kotwiczowisko też było wyjątkowo podłe. Głębokość około pięćdziesięciu metrów i skaliste dno, po którym kotwica ślizgała się jak na łyżwach, aż zahaczyła o jakiś koral. A jak zahaczyła, to trzymała, póki się koral nie urwał albo póki się nie odhaczyła w czasie ciągłego tańca, jaki wykonywał jacht pod wpływem zmiennych, silnych prądów pływowych. Przy tym maksymalna długość łańcucha kotwicznego „Pogorii” wynosiła nieco ponad siedemdziesiąt pięć metrów. Co to oznacza, wie każdy początkujący żeglarz, któremu kładziono do głowy, żeby pewnie kotwiczyc, łańcuch powinien być od trzech do pięciu razy dłuższy niż odległość do dna. Oficer pełniący wachtę kotwiczną musiał mieć cały czas wyteżoną uwagę, tym bardziej że obok kotwiczyły inne jednostki i nawet jeśli były od siebie daleko, to skomplikowany układ prądów rozgałęziających się między wyspami potrafił je w jednej chwili zbliżyć na odległość grożącą zderzeniem lub splątaniem łańcuchów kotwicznych. Wraki, zdobiące zbudowany z koralowych skał portowy falochron, cały czas przypominały, jak drogo można zapłacić za chwilę nieuwagi. W tej sytuacji wciąż musieliśmy zmieniać miejsce kotwiczenia. Bywało, że przekotwiczaliśmy się pięć razy dziennie. Całe szczęście, że liczne obiekty brzegowe, jak meczet, wysoki, oświetlony dźwig, światła i wieże lotniska oraz gęsto rozsiane wysepki pozwalały na branie pewnych namiarów i łatwą kontrolę zmian pozycji.

Najlepsze miejsce do kotwiczenia, od razu bezbłędnie przez nas wybrane, leżało naprzeciw gmachu, w którym urzędował prezydent, o czym nie wiedzieliśmy i co nam nie przeszkadzało, gdy się dowiedzieliśmy. Innego zdania była służba bezpieczeństwa, obawiająca się widocznie, że możemy wystrzelić z jakiegoś ukrytego działa prosto w okno

głowy państwa. Gdyby to powiedzieli wprost, zrozumielibyśmy ich żądania zmiany miejsca kotwiczenia, ale przytaczali tak nieistotne argumenty, że doszło między nami do nieporozumień. W końcu musieliśmy ustąpić i na przychylność tej instytucji już nie mogliśmy liczyć.

Było to zresztą nie pierwsze i nie ostatnie nieporozumienie. Pierwsze miało miejsce w trakcie odprawy granicznej. Na Malediwach nie wolno używać kusz do polowania na ryby i zażądano od nas oddania ich do depozytu. Nasi płetwonurkowie jedną kuszę zdeponowali, a dwie ukryli. Gdyby to jeszcze zrobili skutecznie, ale pobieżny przegląd jachtu, bo trudno to było nawet nazwać rewizją, doprowadził do wykrycia jednej z nich.

Pomimo tych gaf z naszej strony miejscowe władze przyjęły nas serdecznie i przyjaźnie, wychodząc naprzeciw wszelkim naszym prośbom. W rozmowach prowadzonych z ich przedstawicielami ustalono nawet, że w bankiecie, jaki miał być wydany na „Pogorii”, weźmie udział prezydent wraz z całym rządem.

Opracowany jeszcze w kraju program pobytu na Malediwach miał być bardzo bogaty i wiele sobie po nim obiecywaliśmy. Jego punktem numer jeden był planowany dwutygodniowy obóz na bezludnej wyspie, w trakcie którego chłopcy mieli nadrobić ewentualne zaległości w nauce lub nawet wyprzedzić program, a czas dotychczas poświęcany na wachtę i pracę dla jachtu wykorzystać na pływanie, nurkowanie, odpoczynek. Jacht krążyłby w tym czasie w pobliżu z przynajmniej kilkunastoma gośćmi — amatorami nurkowania i zarabiałby potrzebne dewizy. Jednakże firma z RFN, z którą zawarto umowę o czarter, nie znalazła tylu chętnych, a już w Adenie ustaliliśmy, że jeśli będzie ich tylko trzech lub czterech, czarter należy odwołać, bo jest to skórka za wyprawkę: wpływy pokryją zaledwie koszty paliwa zużyte-

go na wożenie gości. Wbrew ustaleniom i poleceniu kapitana aktualność czarteru potwierdzono i do Male przyleciało czterech amatorów nurkowania. Spowodowało to kolejne nieporozumienie, bo miejscowe władze chętnie widzą turystów, ale takich, którzy wynajmują mieszkania, łodzie, przewodników, korzystają z miejscowych restauracji i zostawiają dewizy w rękach obywateli republiki, a nie w kasie goszczącego tu jachtu.

Tymczasem do dyspozycji „Szkoły pod żaglami” oddano wybraną przez nas koralową wyspę Weli, leżącą w obrębie Atołu Ari odległego o kilka godzin żeglugi od Male. Wyspa była porośnięta chaszczami i palmami, których pióropusze kryły całe pęki kokosów, niezamieszkała, ale ze śladami ludzkiego bytowania. Były nimi ruiny dwu- czy trzyizbowego domku oraz studnia, która po oczyszczeniu pozwalała uzupełniać zapas pitnej wody słonąwą cieczą, ale nadającą się po przegotowaniu do spożycia. Znalezienie studni uczyniło bezprzedmiotowymi gorące spory na temat, ile płynów spożywa się w tropiku i czy zakupione w Kolombo pojemniki na wodę wystarczą. Można było zrezygnować z drastycznego racjonowania wody i pragnienie Kaczorom nie dokuczało. Byli tylko głodni jak wilki, co rzucało się w oczy, gdy wpadali do jachtowego kambuza po jedzenie. Ale głód nie przeszkadzał im cieszyć się z pozostania na wyspie, bo pobyt obfitował w same atrakcje. Było biwakowanie, windsurfing, pływanie, nurkowanie w aparatach i bez, łowienie pięknych okazów muszli, krabów, koralu, a także mleko kokosowe, po które wystarczyło wspiąć się na najbliższą palmę. Było też nielegalne polowanie kadry z kuszą na ryby, czego nie mogli nie zauważyć dwaj przydzieleni nam opiekunowie, którzy nieustannie informowali swych zwierzchników przez ukaefkę o tym, co się u nas dzieje.

Wbrew pierwotnym planom nauki na wyspie nie było. Od

dłuższego czasu w oficjalnych, np. na apelu, i nieoficjalnych wypowiedziach poczęto pobyt na Malediwach określać jako wakacje. To wystarczyło, bo Kaczory uwierzyły, że rzeczywiście należą się im wakacje, i nie chciały słyszeć o żadnej nauce. W ostrych dyskusjach toczonych wokół tego tematu przewijało się zdanie, że nauka odbywa się również w soboty i niedziele i że w czasie roku szkolnego są ferie. Mało kto pamiętał, że z programem byliśmy w tyle, że w Pireusie był tydzień ferii, w Bombaju drugi, na Ceylonie trzeci, a z pozostałych wolnych od nauki dni jeszcze parę tygodni by się uzbierało. Zresztą niewykonany program godzinowy świadczył bezspornie o tym, że lekcji było mniej, niż zaplanowano. Wakacje należały się uczniom dopiero w lipcu, a kilka godzin nauki wobec całodziennej perspektywy wolnego czasu, bez żadnych obowiązków, oprócz przygotowania posiłków, nie powinno być zbytnim obciążeniem. Te argumenty trudno było odeprzeć, wysuwano więc jeszcze jeden kontrargument: chłopcy są przemęczeni zintensyfikowaniem nauki w krótkich okresach czasu; muszą odpocząć, po tym będą się lepiej uczyć. W tym było trochę racji, a poza tym większość kadry była zdania, że trzeba Kaczorom dać wakacje, sama też chciała je mieć i tak się w końcu stało.

Podczas gdy chłopcy bawili na wyspie, „Pogoria” kursowała do Male i z powrotem odbierając z lotniska przybywających gości i powracających z urlopu kolegów oraz odwoząc tych, którzy nas opuszczali. Przez kilka dni byłem jedynym oficerem wachtowym i pełniłem służbę przez 24 godziny na dobę. Było to wyczerpujące, ale dawało wiele satysfakcji. To duża radość manewrować trzymasztowym żaglowcem i stawiać na nim żagle zaledwie we trzech czy czterech ludzi.

Zabawa w Robinsonów została gwałtownie przerwana dramatycznymi wydarzeniami. W nocy z 6 na 7 lutego Marek Gatz dostał ataku niezwykle silnych bólów brzucha. Już

przedtem, w drodze z Kolombo do Male miał podobny, ale dużo słabszy atak, który szybko minął. Badanie przeprowadzone przez Karmenę na jachcie ani badanie przez chirurga w szpitalu w Male, dokąd natychmiast po przybyciu Karmena zaprowadziła Marka, nie wykazało żadnych zmian chorobowych. A podczas pobytu na wyspie nagle nastąpił ponowny atak choroby.

„Pogoria” stała wówczas na kotwicy kilkaset metrów od wyspy. Kapitan odpłynął motorówką w kierunku innej wyspy razem z Jankiem Muszyńskim i Markiem Stryjeckim, aby kręcić tam film, a ja drzemałem w nawigacyjnej, nastawiając sobie co godzinę budzik, by wstać i sprawdzić, jak trzyma kotwica. Tym razem zamiast budzika wyrwał mnie z drzemki dochodzący z ukaefki głos Andrzeja Makacewicza:

— „Pogoria”, „Pogoria”, tu wyspa!

— Wyspa, tu „Pogoria”, słucham.

— Przyślijcie ponton — powiedział Andrzej bez żadnego komentarza.

— Po co? Macie przecież własny. Jest szósta rano, u nas wszyscy jeszcze śpią. Co się stało? — domagałem się wyjaśnienia, ale bez skutku.

— Jak mówię przysyłaj, to przysyłaj!

— Jeśli mi nie wyjaśnisz po co, to nie przysyłaj!

— To będę strzelał rakiety!

— A strzelaj — odrzekłem rozumując, że jeśli się rzeczywiście coś stało, to konieczna będzie obecność Krzysztofa, rakiety go zaalarmują i natychmiast wróci na „Pogorię”. I tak nie miałem innej metody ściągnięcia go na jacht.

Nie zdążyłem jeszcze odłożyć słuchawki, gdy odezwał się w niej spokojny, opanowany głos Karmeny:

— Jacku! Marek dostał silnego ataku. Trzeba go zabrać na jacht, a nasz ponton wzięli pletwonurkowie.

— Natychmiast wysyłam ponton — odpowiedziałem.

— Poczekaj! Znajdź jeszcze w apteczce papawerinę i pabialginę w ampulkach, bo już mi zabrakło, a muszę mu dać zastrzyk — kontynuowała Karmena, a jednocześnie z jej ostatnimi słowami usłyszałem huk odpalanej rakiety.

Pięć minut później ponton kierowany przez Warka pędził w stronę wyspy. Zanim zdążył wrócić z Markiem, Krzysztof był już na pokładzie.

Marek, mimo znieczulających zastrzyków, związał się z bólu. Zdecydowano wezwać przez radio za pośrednictwem naszych opiekunów łódź ratunkową z Male i przewieźć Marka do szpitala, a zanim to nastąpi natychmiast zwinąć obóz i popłynąć „Pogorią” na spotkanie łodzi. Po kilku godzinach szybka łódź motorowa przybiła do burty żaglowca i Marek pod opieką Karmeny natychmiast przeszedł na jej pokład. Łódź rozwijając maksymalną prędkość popędziła do Male. W tym momencie jeszcze chyba nie w pełni zdawaliśmy sobie sprawę, że był to wyścig ze śmiercią.

„Pogoria” zakotwiczyła w pobliżu wyspy Ukulahu, na której, wracający pośpiesznie na jacht Krzysztof, pozostawił Janka i sprzęt filmowy. Trzeba było dokończyć zdjęcia i zabrać Janka, a przy okazji Kaczory mogły ponurkować i obejrzeć wioskę krajowców. Z mieszkańcami wioski ekipa filmowa nawiązała już poprzedniego dnia przyjazne kontakty, chociaż nie obeszło się przy tym bez drobnego incydentu. Młody, mianowany przez centralne władze i może dlatego niezbyt lubiany naczelnik wioski, zaproszony do zwiedzenia „Pogorii” przybył wraz ze swą narzeczoną, a że wizyta przeciągnęła się, zapytał, czy mogą tu przenocować. Nie było powodu do odmowy, ale zanim poszli spać ujrzelśmy dużą łódź zwaną tu dhoni, która zmierzała w naszym kierunku. W łodzi siedziało kilkunastu młodych mężczyzn ubranych tylko w biodrowe przepaski. Byli czymś podnieceni, gniew-

nie gestykulowali i wykrzykiwali coś pod naszym adresem. Nie mieli wprawdzie broni, ale załoga „Pogorii” liczyła w owej chwili zaledwie kilka osób i byłoby niedobrze, gdyby przyszło do abordażu. Wywołaliśmy na pokład naszego gościa, aby przetłumaczył żądania krajowców i sytuacja natychmiast się wyjaśniła. Chodziło o dziewczynę, która przed ślubem nie powinna nocować poza domem, do tego jeszcze razem z narzeczoną. W łodzi byli bracia i krewni dziewczyny, którzy stanowczo żądali jej powrotu. Oczywiście stało się zadość ich życzeniu. Naczelnik na wszelki wypadek przenocował jednak na „Pogorii”. Zdarzenie to nie zakłóciło dobrych stosunków między ekipą filmową a mieszkańcami wioski, bo wydali nam sprzęt i Janka w stanie nienaruszonym.

Rankiem podnieśliśmy kotwicę, aby pożeglować w stronę Atolu Felidu, gdzie na wyspie o podobnej nazwie Fulidu zaplanowano następny obóz, tym razem wspólny z młodzieżą malediwską. Po południu byliśmy na miejscu. „Pogoria” szukała przejścia przez rafę, którą niby podwodnym murem obronnym otoczony jest każdy atol, a ponton obciążony kilkoma osobami i częścią sprzętu obozowego nie bez przeszkód pokonał przybój i wylądował na plaży. Z zarośli wyłoniło się paru tubylców, z którymi nie sposób było się porozumieć w żadnym języku. Warek z dwoma chłopcami został przy pontonie, a ja w towarzystwie dwóch innych pomaszerowałem w głąb wyspy, zachęcony do tego na migi przez krajowców. Po przedarciu się przez nabrzeżne zarośla doszliśmy do szerokiej alei wiodącej środkiem uderzająco czystej i porządnie utrzymanej wsi. Stojące wśród palm budynki kryte papą, blachą lub palmowymi liśćmi, zbudowane były z bloków koralowej rafy. Przez otwarte drzwi i okna widzieliśmy proste sprzęty, w większości własnej roboty: łóżka, stoły, krzesła i ławy. Po drodze zauważyliśmy

kilka dużych, metalowych zbiorników na wodę, przystosowanych do łapania deszczówki.

Budziłyśmy ogólne zainteresowanie. Liczba towarzyszących nam osób rosła w miarę marszu. W dalszym ciągu z nikim nie mogliśmy się porozumieć, ale atmosfera była przyjazna. W końcu dotarliśmy do otoczonego przyzwoitym płotem kompleksu porządnie otynkowanych bungalów. Były to zabudowania obozu młodzieżowego. Jeszcze kilka minut oczekiwania na zakończenie odbywającej się właśnie modlitwy i na spotkanie wyszedł nam kierownik obozu, znany mi z Male.

Zaczęliśmy omawiać techniczne sprawy związane z rozbięciem naszego obozu, zdążyłem też przekazać Krzysztofowi przez ukaefkę uzyskane tu wskazówki o miejscu przejścia przez rafę, gdy nagle mój rozmówca przypomniał sobie, że ma dla nas list od Karmeny. W jaki sposób list ten w ciągu kilku godzin pokonał kilkudziesięciomilową odległość między atolami, pozostanie tajemnicą malediwskiej poczty, podobnie jak tajemnicą naszej poczty są kilkudniowe nieraz wędrówki listu w obrębie tego samego miasta.

List odczytałem głośno do mikrofonu, przekazując w ten sposób jego dramatyczną treść na „Pogorię”. Karmena pisała mniej więcej tak:

Ponowne badanie Marka nie pozwoliło postawić żadnej diagnozy, ale jego krytyczny stan nakazywał natychmiastowe otwarcie jamy brzusznej. Okazało się, że miał skomplikowany skręt jelit. Spory odcinek zniszczonego jelita usunięto. Marek przeżył operację wykonaną w bardzo prymitywnych warunkach i jeśli będzie żył, to tylko dzięki temu, że personel lekarski szpitala to zespół europejskich, a konkretnie radzieckich chirurgów. Członkowie osobistej ochrony prezydenta oddali krew dla Marka, ale potrzeba jej więcej. Konieczna jest plazma, której nie ma na Maledi-

wach. Przy Marku trzeba nieustannie czuwać. Bardzo pomaga Andrzej Bolewski, który właśnie wrócił z Ceylonu, ale sam jest chory. Nabawił się jakiejś tropikalnej gorączki, ma temperaturę prawie 40 stopni i ślania się na nogach.

Reakcja z pokładu była natychmiastowa: „Wracajcie na jacht, płyniemy do Male”. Wyjaśniłem wyspiarzom w kilku słowach, co się stało, przeprosiłem i odwołałem obóz, przynajmniej na razie. Po chwili odbijaliśmy od brzegu, a gospodarze na pożegnanie zdążyli jeszcze wrzucić nam do pontonu worek kokosowych orzechów.

Drogę do Male odbyliśmy nocą, omijając bezpiecznym łukiem najeżone rafami brzegi mijanych wysp. Na miejscu czekała nas pocieszająca wiadomość, że Marek czuje się lepiej.

Zorganizowano przy nim dyżury. We wszystkie strony świata szły teleksy w poszukiwaniu plazmy i lekarstw. Udało się je ściągnąć z Europy. Chłopcy oddali krew dla Marka, który znów po kilku dniach poczuł się gorzej. Odsondowano mu resztki pożywienia i jego stan uległ minimalnej poprawie, ale wciąż utrzymywał się w obrębie owej wąskiej smugi cienia.

Ośrodkiem, wokół którego obracały się w tym okresie wszystkie nasze działania, był...

Szpital w Male

Był to spory, parterowy budynek z czymś w rodzaju patio, w którym rosły krzewy i drzewa palmowe. Wewnętrzny korytarz wiódł wokół budynku, a po obu stronach tego korytarza rozmieszczono sale chorych, izolatki, gabinety lekarskie itd. W holu wejściowym znajdowała się rejestracja.

Osobny budynek zajmowało laboratorium. Na pierwszy rzut oka wszystko jak w Europie, a jednak szpital w Male szokuje Europejczyka. Sale chorych są koedukacyjne, a chorzy leżą przemieszani, bez względu na rodzaj dolegliwości. Tak więc chłopiec w gipsie ze skomplikowanym złamaniem nogi sąsiaduje z rodzącą kobietą i umierającym starcem, obok leży mężczyzna chory na raka, przy nim ktoś po operacji woreczka żółciowego itp. Większość ciemnoskórych pielęgniarek została przeszkolona za granicą i dobrze zna swój zawód. Lekarzami są radzieccy specjaliści.

Każdemu pacjentowi towarzyszy ktoś z rodziny. Zwykle jest to jedna osoba, czasem kilka. W nocy członkowie rodziny drzemią z głowami opartymi o łóżko chorego, nieraz śpią razem z nim. Bierze się to stąd, że szpital leczy chorych, ale ich nie karmi. Pożywienie musi przygotować i dostarczyć rodzina. Podobnie jest z lekarstwami. Lekarz je przepisuje, pielęgniarka podaje, ale rodzina musi zakupić lekarstwa sama w jednej z kilku aptek czynnych całą dobę w odległości kilku kroków od szpitala. Co ma robić rodzina mieszkająca na odległej wyspie, jeśli, co jest regułą, nie stać jej na hotel czy wynajęcie mieszkania w Male? Koczuje obok chorego. Mimo to w szpitalu nie ma bałaganu, hałasu, jest czysto. W utrzymaniu higieny pomagają... jaszczurki harcujące po suficie. Są pożyteczne — żywią się owadami.

W takich warunkach leżał początkowo Marek. Pierwsze posiłki, stosowne do obowiązującej go diety, przygotowywała mu żona jednego z lekarzy. Później udało się załatwić przeniesienie chłopca do izolatki z osobną łazienką i jeszcze jednym, wolnym łóżkiem, na którym mogła się zdrzemnąć towarzysząca mu osoba. To był luksus, o jaki trudno i w polskim szpitalu. Do tego jeden z Anglików pracujący tu z ramienia ONZ, udostępnił nam swoje mieszkanie położone

o sto metrów od szpitala, dzięki czemu dyżurujący przy Marku mieli gdzie wypocząć.

Marek powoli wracał do zdrowia, ale było jasne, że dalej z nami nie może już płynąć. Należało go odesłać do kraju jak najszybciej, gdy tylko będzie mógł znieść podróż, aby uniknąć niebezpieczeństwa przyplątania się jakiejś tropikalnej choroby, która w jego stanie mogłaby stanowić śmiertelne niebezpieczeństwo. Dla zrozumienia tego wystarczyło popatrzyć na Bola, który trawiony wysoką gorączką leżał przez kilka dni półprzytomny i słaby jak dziecko. On, który bez zmruczenia oka wciągał podwójne porcje i jeszcze prosił o dokładkę, teraz nic nie brał do ust, przestał nawet palić i nie można było mu pomóc. Choroba musiała sama minąć i minęła. Ale Bolo przed chorobą był w świetnej formie, a Marek po ciężkiej operacji i głodówce. W Polsce czekał go jeszcze pobyt w szpitalu i długa rekonwalescencja.

Marek żegnany serdecznie przez załogę odleciał do kraju via Kolombo pod opieką Karmeny, która dołączyła do nas dopiero na Seszelach. Towarzyszyła im wracająca do Polski Ania Kawęczyńska oraz Andrzej Makacewicz, który zakończył tu rejs, mniejsza o to dlaczego.

Tymczasem, jeszcze w trakcie pobytu Marka w szpitalu, życie na „Pogorii” wracało powoli do normy. Przylecieli z Cejlonu wszyscy nasi urlopowani koledzy, co rusz żegnaliśmy kogoś z naszych gości. Te pożegnania wymykały się czasem spod kontroli. Prym wiedli cudzoziemcy pletwonurkowie, którzy na skutek choroby Marka musieli zrezygnować z części swych sportowych zamierzeń i chętnie szukali pocieszenia na dnie kufła. Im można by to jeszcze wybaczyć, nie byli zatrudnieni na „Pogorii”, płacili i wymagali, ich sposób bycia był ich sprawą, jeśli w wyraźny sposób nie przekraczali ogólnie przyjętych norm przyzwoitości — pojęcia zresztą mało precyzyjnego i subiektywnego. Ale podob-

na postawa części kadry była zupełnie nie na miejscu, a trzeba pamiętać, że było to miejsce szczególne: szkoła z trzydziestką uczniów bacznie obserwujących i naśladowających swych nauczycieli, niekoniecznie tylko w dobrym. Dla ilustracji tej tezy przytoczmy fragment wypracowania naszego wychowanka, napisanego kilka tygodni później z okazji dwusetnego dnia rejsu. „... Nie jest mi przyjemnie, kiedy zabiera mi się kieliszek... Nie rozumiem dlaczego odmawia nam się tego, jeżeli nawet kapitan na to pozwala...”

Epilogiem jednego z takich wieczorów pożegnalnych była nagana udzielona oficerowi za doprowadzenie się do stanu, w którym nie mógł przejąć wachty. Za to samo otrzymał powtórnie karę już na redzie Gdyni, co nie przeszkodziło w wystawieniu mu bardzo dobrej opinii. I to wszystko oraz szereg podobnych, choć nie tak drastycznych przypadków, miało miejsce w rejsie, na który Społeczny Komitet Antyalkoholowy wyasygnował ileś tam milionów złotych za propagowanie trzeźwości. Nic dziwnego, że symbol trzeźwości — krokus — Kaczory rysowały w formie kieliszka.

Jest rzeczą oczywistą, że łączenie szkoły i czarterów, konieczne ze względów finansowych, kryło w sobie szereg pułapek wychowawczych i ani nagany, ani karne usunięcie z jachtu nie mogły ich zlikwidować. Najlepszą metodą było zdać sobie sprawę z ich istnienia i je omijać, ale na to mogłaby sobie pozwolić tylko właściwie dobrana kadra, w której wszyscy bez wyjątku reprezentowaliby odpowiedni poziom pod każdym względem.

Zupełnie inny przebieg miało pożegnalne party wydane dla naszych znajomych z lądu. Przybyli na nie przede wszystkim cudzoziemcy zatrudnieni w Male jako eksperci różnych agend ONZ. Prezydent Malediwów ani nikt z jego otoczenia nie przybył. Doreczono nam jedynie list, w którym

dziękował, przeproszał i tłumaczył nieobecność nawąłem pracy.

Domyślaliśmy się, że tak będzie. Wskazywały na to pewne symptomy, jak np. nagła niedostępność pewnych wyższych urzędników, którzy poprzednio zabiegali o zaproszenie na party, byli przyjaźni i do dyspozycji w każdej chwili. Żadnych wątpliwości w tym względzie nie pozostawiło bardzo przykre wydarzenie, jakie miało miejsce dzień wcześniej.

— Panie Jacku! Do burty podpływa motorówka, a na niej kilkunastu policjantów — zaalarmował mnie wachtowy.
— Uzbrojeni po zęby, każdy ma pistolet maszynowy.

— Zrzucicie trap — odpowiedziałem — zobaczymy, o co im chodzi.

Po chwili byli na statku.

— Macie muszle i korale na pokładzie? — spytał dowodzący grupą.

Mieliśmy. Na pokładzie, pod pokładem i poza pokładem, to jest w skrzyni zanurzonej za burtą, co miało chronić nasze nosy przed nieprzyjemnym zapachem wydzielanym nie tylko przez gnijące ślimaki, ale i świeże korale.

— Mamy — odpowiedziałem.

— Zbierane na Malediwach?

— Nie tylko.

— Te z Malediwów musicie oddać. Tu turystom nie wolno niczego wyławiać. Muszle i korale możecie kupić w sklepach.

— Ale nam pozwolono. Łowiliśmy je na wyspie Weli, cały czas towarzyszyli nam wasi ludzie. Nie zabraniali. Ba, wskazywali miejsca, gdzie można znaleźć najpiękniejsze okazy!

— Nic o tym nie wiem. Mam rozkaz przeprowadzenia rewizji i konfiskaty — brzmiała twarda odpowiedź.

Wywołany przeze mnie kapitan kazał podporządkować się poleceniom.

— Obyśmy tylko nie musieli zapłacić grzywny i czekać na rozprawę sądową — dodał.

Prawie wszystkie muszle zabrano. Tylko nieliczni zdolali skutecznie ukryć swe skarby. A część uratowanych wyrzucił za burtę pan od polskiego podczas kontroli porządku w kubrykach, gdy nie sprzątnięto ich w wyznaczonym uprzednio terminie. Rozpacz chłopców była nie do opisania. Stracili po kilkadziesiąt pięknych, własnoręcznie wyłowionych okazów. Na otarcie łez zafundowano każdemu z nich po jednej muszelce.

Kolejną przykrą sprawą były prywatne napoje. Kambuzowe Kaczory zameldowały ze słusznym oburzeniem, że części dostarczanych do magazynu skrzynek z napojami nie wolno wydawać na użytek ogólny, bo jest to prywatna własność kilku członków kadry. Kapitan, dowiedziawszy się o tym, zareagował ostro.

— Prywatne zapasy powinny się natychmiast znaleźć w kabinach właścicieli — powiedział.

Wiadomo było przecież, jakie znaczenie mają napoje w tropikach i jaką pokusę kryje w sobie sytuacja, że w tej samej załodze, która powinna być wspólną, wielką rodziną, jedni mają, drugim brakuje, nauczyciele piją soczki, uczniowie paskudny ersatz, zwany ironicznie moczem pawiana. Ciekawe, że nikt nie zgłosił się po te zastrzeżone skrzynki, których zawartość została potem wypita sprawiedliwie przez całą załogę.

Pobyt na Malediwach przeciągnął się. Jeszcze przed odlotem Marka wznowiono lekcje, które toczyły się utartym trybem i tylko przerwy między nimi były nietypowe: wypadający z klasy chłopcy skakali do morza. Pięć minut pływania i znów następna lekcja. Trudno było odmówić im tej



przyjemności. Tropikalny upał był wprost nie do zniesienia. Podczas każdej kąpieli z niecierpliwością oczekiwałem dzwonka na lekcję i momentu, gdy ostatni uczeń wynurzy się z wody, która w dzień wydawała się pozbawiona wszelkiego życia, a wieczorem... Wieczorem wokół jachtu pojawiały się całe ławice drobniotek, dwu- czy trzycentymetrowych rybek. Za nimi przychodziły stada ryb większych, wielkości naszych płotek czy okoni. Było od nich po prostu gęsto. Wydawało się, że gdyby zaczerpnąć wodę kubłem, znalazłoby się w nim przynajmniej kilka sztuk. Morze wprost kipiało, gdy żerująca ławica nagle zmieniała kierunek w pogoni za uciekającym pokarmem. Wtem jak błyskawica wpadały w pole widzenia tuńczyki. Woda kotłowała się zygzakami szalonych pościgów i ucieczek pozostawiających w niej fosforyzujące ślady wytwarzane przez świecące żyjątka planktonu. W ławicę tuńczyków z niewiarygodną prędkością uderzały smukłe, podobne do torped cienie. Ich atak trwał w sumie sekundę, może dwie i nie było przed nim ucieczki. To polowały rekiny. Po ich ataku następował krótki okres spokoju. Potem znów pojawiały się ławice maleńkich rybek i widowisko zaczynało się od początku. Trwało każdego wieczoru przez kilka godzin, a za każdym razem, gdy w końcowej fazie tego wielokrotnie powtarzającego się przedstawienia na scenę wkraczały rekiny, przed oczami jawiły mi się postacie chłopców skaczących do morza w czasie lekcyjnych przerw. Obserwowane przez nas żarłaczce były wprawdzie niewielkie i w dzień zapewne spały w głębinach, uciekając od prześwieconych, nagranych słonecznymi promieniami powierzchniowych warstw wody, ale gdyby przypadkiem... Nie, lepiej o tym nie myśleć.

Przygodę z dużym rekinem przeżyliśmy nawet o niej nie wiedząc. Pewnego popołudnia otrzymałem polecenie popłynięcia pontonem z chłopcami na pobliską wyspę Wilingili.

Była ona przeznaczona dla cudzoziemców, którzy mieszkali w licznych domkach kempingowych, mogli korzystać z barów, wypożyczać sprzęt wodny itd. Chłopcy mieli tam popływać i ponurkować pod kierunkiem instruktora nurkowania i nauczyciela wf, czyli Andrzeja Makacewicza (było to jeszcze zanim się z nim rozstaliśmy). Wylądowaliśmy, ale Andrzej zajął się swoimi sprawami, a wszyscy chłopcy pływali pod moją opieką. Pływanie na nieprzekraczającej chyba półtora metra płyčźnie rafy okalającej wyspę daje dużo wrażeń, gdyż życie na niej jest niezwykle bogate. W maseczce z fajką, umożliwiającą oddychanie bez wynurzenia głowy z wody, można godzinami obserwować stada kolorowych ryb, łowić muszle, podziwiać koral. Przy tym na rafie bezpiecznie, bo rekiny nie zapędzają się na płytką wodę. Najciekawsze jest nurkowanie na skraju rafy pionowo opadającej w głębinę, bo tu spotyka się najwięcej gatunków ryb, ale jest to rejon, w którym można natknąć się na rekina.

Była to ostatnia kąpiel na Malediwach, więc nikomu nie chciało się wychodzić z wody. Trzeba było jednak wracać. Andrzeja nie było. Czas oczekiwania na niego skracaliśmy sobie obserwując niewielkie rekiny, płaszczy i żółwie trzymane w specjalnym basenie dla uciechy cudzoziemców. Wszedłem tam nawet, prowokując ataki rekinów, które po kolei pędziły wprost na mnie, jakby usiłując przestraszyć, ale zawsze w odległości kilku metrów od moich nóg skręcały ostro w bok i uciekały. Robiło się późno i dłużej nie mogliśmy czekać. Zabrałem do pontonu tylu chłopców, ilu się zmieściło, nakazując czterem pozostałym czekać na Andrzeja, i odpłynąłem.

W czasie drogi stwierdziłem, że jeden z dwu cylindrów silnika Yamahy przestał palić. Moc spadła o połowę, a zużycie paliwa nie. Uszkodzony cylinder ssał benzynę i zamiast zamieniać ją na energię wypluwał razem ze spalinami na

zewnątrz. Na domiar złego prąd wody zmienił kierunek na niekorzystny i jeszcze bardziej zmniejszył naszą prędkość. Zachodziła obawa, że zabraknie paliwa. Specjalnie się tym nie przejąłem, bo Andrzej powinien pojawić się lada chwila, ale na wszelki wypadek zamiast do „Pogorii” skierowaliśmy się ku najbliższej kotwiczącemu statkowi, by przy jego trapię poczekać na Andrzeja i skorzystać z holu. Cel był tuż, tuż, gdy silnik stanął. Zbiornik paliwa był pusty. Jeszcze jedna próba uniesienia zbiornika do góry, by wykorzystać resztkę znajdującą się na dnie benzyny. Silnik zagdakał, popracował minutę i paliwo skończyło się definitywnie. Desperackie wiosłowanie nie zdało się na nic. Wtedy chłopcy zaproponowali:

— Skoczmy do wody w płetwach, część będzie pchała, część ciągnęła. Już raz tak było — mówili — i zdało to egzamin.

Zgodziłem się. Dwóch napędzało ponton nogami siedząc z tyłu, dwóch pchało od rufy, jeden holował za cumę, a oprócz tego wiosłowaliśmy. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie prąd, który nasilał się, niwecząc wszelkie nasze wysiłki. Po pewnym czasie znów zmienił kierunek i nawet powrót do Wilingili stawał się problematyczny, mimo że nie ustawiliśmy w wysiłkach. Przesłałem na „Pogorię” kolejny meldunek o sytuacji przez ukaefkę i... ona też umilkła, ale nie przestała działać jako odbiornik.

— Ponton! Nie wiem, czy mnie słyszycie — mówił kapitan. — Mamy akurat awarię silnika motorówki, ale posyłamy wam ją na wiosłach z całym zapasem benzyny. Mając benzynę weźmiecie motorówkę na hol i wróćcie.

Po kilku minutach ujrzelśmy motorówkę, która pod wodzą Mirka Lasoty zbliżała się ku nam napędzana czterema pagajami. W tej samej chwili pojawiła się w zasięgu głosu idąca na silniku duża dhoni z dwoma Malediwczykami na

pokładzie i przyholowała ponton oraz motorówkę do „Pogorii”. Trochę głupio mi było, gdy dano im za to tylko paczkę papierosów.

— Czy naprawdę nie widziałeś tego wielkiego rekina, który krążył wokół pontonu, gdy usiłowaliście go holować wpływ? — pytano mnie na „Pogorii”. — Stąd widoczny był jak na dłoni.

— Naprawdę nie widziałem. I nie żałuję.

Silnik pontonu, jak się sam zepsuł, tak się sam naprawił i po chwili pędziłem z powrotem w kierunku Wilingili po Andrzeja i resztę chłopców. Spotkałem ich w połowie drogi. Okazało się, że Maja znudzony czekaniem na spóźniającego się Andrzeja poszedł na spacer, potem się wykąpał raz jeszcze i stracił przy tym rachubę czasu. Andrzej po powrocie szukał go z pozostałymi chłopcami i był już pełen najczarniejszych myśli, gdy zguba się znalazła. W ten sposób niekorzystny zbieg drobnych, zdawałoby się, awarii i nieprawidłowości — uszkodzenie silnika motorówki i pontonu, zaniedbanie obowiązków przez Andrzeja, samowolne odejście i brak zegarka u Mai — spowodował nieliczne zamieszanie. Wszystko skupiło się na Mai: dostał nagane.

Nieszczęścia chodzą parami, zatem nie można się dziwić, że nastąpiła awaria jednego z dwu agregatów prądotwórczych „Pogorii”. Nie sposób było płynąć dalej tylko z jednym, bo gdyby i on uległ uszkodzeniu, czekałaby nas totalna klęska. Agregat musi pracować non stop, chyba że statek stoi w porcie i jest zasilany z miejskiej sieci. Bez energii elektrycznej na „Pogorii” nie byłoby życia. W chłodniach zepsułyby się zapas prowiantu przeznaczony na kilka miesięcy, nie byłoby mowy o ugotowaniu czegokolwiek, stanęłyby wentylatory, wiele urządzeń nawigacyjnych przestałoby pracować, byłyby trudności z wyciągnięciem kotwicy.

— Nawet wody po sobie nie mógłbyś spuścić w toalecie

— wyjaśnił definitywnie Warek sytuację jednemu z Kaczorów.

Należało przewinąć wirnik generatora. Sami nie byliśmy w stanie tego zrobić z wielu powodów. A czy było to w ogóle możliwe w kraju, gdzie ludność mieszka w chatach krytych palmowymi liśćmi? Okazało się, że tak. Był w Male przedsiębiorca zajmujący się przewijaniem silników elektrycznych, tylko przebywał właśnie u jednej ze swych trzech żon, mieszkającej na odległej wyspie położonej w obrębie innego atolu.

Popłynęliśmy tam motorówką z Markiem Stryjeckim, zabierając z sobą przewodnika. Wyprawa ta była też swoistą przygodą, bo nieczęsto trafia się kilkudziesięciomilowa wycieczka motorówką po oceanie. Pędziliśmy z maksymalną prędkością, niewiele ją zmniejszając nawet przy wejściu między rafy atolu, gdyż nasz przewodnik świetnie znał tu każdą skałę podwodną i pewnie prowadził nas zygzakowatym szlakiem, omijając niebezpieczeństwa.

Wracaliśmy inną, dłuższą drogą, gdyż słońce właśnie zachodziło i ani nasz przewodnik, ani wieziony przez nas przedsiębiorca, równie świetnie znający te wody, nie odważyli się po ciemku płynąć na skróty. Okrążaliśmy wyspy atolu od strony pełnego morza, a płoszone pracą śruby latające ryby, uciekając przed nami, szybowwały z tą samą, co my prędkością, czyli około czterdziestu kilometrów na godzinę, i do tego na zdumiewająco długim dystansie kilkuset metrów. Nigdy nie myślałem, że ryby potrafią tak szybko i tak daleko fruwać, a przy tym zmieniać kierunek lotu nawet o 180 stopni.

Przedsiębiorca obejrzał agregat i podjął się naprawy. Kilkuosobowa brygada elektryków pracowała całą noc, demontując przy pomocy naszych mechanizmów generator. Wirnik zabrali na ląd i tam go przewinęli w ciągu dnia,

a następnej nocy zamontowali. Kosztowało nas to pięć tysięcy rufii, czyli około siedemset dolarów i nie sędzę, by to było drogo. Generator pracował bez zarzutu do końca rejsu. Robotnicy też pracowali nienagannie, żując przez cały czas betel. Nie odmówiłem, gdy mnie poczęstowali. Nawet mi smakował, więc żulem z nimi przez parę godzin.

W zielone liście pieprzu zawija się odrobinę wapna i kilka drobnych nasion, podobno jakieś palmy. No, i żuje się to łykając wyciśnięty zębami sok. Niewielką resztkę żyłek liścia wypłuka się sięgając po następną porcję. Sok ma lekko gorzki smak i barwi usta na czerwono. Powiadają, że skutecznie dezynfekuje jamę ustną oraz przewód pokarmowy. Ma też usuwać zmęczenie i wzmacniać siły witalne, ale nie mogę autorytatywnie stwierdzić takiego działania betelu. Nie było ku temu okazji.

Przez cały czas pobytu w Male prowadziliśmy usilne starania o napełnienie naszych zbiorników słodką wodą. Próby dojścia „Pogorią” do falochronu i tankowania bezpośrednio z łądu nie powiodły się. Kotwica nie chciała trzymać, a rozciągająca się wzdłuż falochronu rafa odstraszała od bliższego z nią kontaktu. Wodę dostarczano więc łodzią, na której były ustawione trzy stalowe sześciennie zbiorniki o łącznej pojemności ok. pięciu ton. Łódź podholowywano do jachtu i spalinowa pompa przepompowywała wodę. Musiało to trwać. Trwała też podróż łodzi w tę i z powrotem, godzinami odbywało się uzupełnianie jej zbiorników cieniotkim węzem z łądu. W tym tempie nasi dostawcy byłiby w stanie obrócić od świtu do nocy trzy, cztery razy, lecz nie tylko nas obsługiwali. Toteż nie dotrzymywali ustalonych terminów, czekali to na pompę, to na łódź holującą, to nie wiadomo na co. Jednym słowem, woda ciekła jak krew z nosa. Do tego nie zawsze dostarczano deszczówkę. Czasem była to słonawa woda studzienna, która mogła być zanieczy-

szczona miejskimi ściekami. Wprawdzie badania przeprowadzane przez Karmenę i Wojtkę nic nie wykryły, ale na wszelki wypadek chlorowaliśmy wodę. Obowiązywało to na całym pozaeuropejskim odcinku rejsu, podobnie jak zakaz picia nie przegotowanej wody. Zarządzono nawet, aby zęby myć w przegotowanej wodzie.

Miałym przerywnikiem w tych maledyjskich kłopotach była wizyta, jaką złożył na „Pogorii”...

Thor Heyerdahl

Nigdy nie przyszedłoby mi do głowy pisać, kim jest Thor Heyerdahl. Mniemałem, że nie ma w Polsce człowieka, który nie przeczytałby chociaż jednej z jego książek. Kaczory sprowadziły mnie jednak na ziemię. Ponad połowa z nich nie tylko nie czytała, ale po raz pierwszy usłyszała to nazwisko i nie miała zielonego pojęcia nawet o wyprawie Kon-Tiki ani o książce pod tym samym tytułem. Łudząc się, że może wezmą tę książkę do ręki ich koledzy, którzy średnio rzecz biorąc nie są bardziej od nich czytani, postanowiłem napisać.

Profesor Thor Heyerdahl — światowej sławy uczyony — jest nietypowym naukowcem i jednocześnie autorem wielu książek, które popularyzują wiedzę oraz są frapującymi pozycjami literatury przygodowo-podróżniczej. Bo też taką naukową i podróżniczą przygodą jest całe życie Heyerdahla. Zafascynowany od chłopięcych lat bogactwem norweskiej przyrody studiował na uniwersytecie w Oslo biologię i geografię, by móc powrócić do natury i żyć zgodnie z jej prawami, z dala i niezależnie od cywilizacji. Swe marzenie wcielił w czyn osiedlając się wraz z żoną na jednej z wysp Oceanu Spokojnego. Ucieczka od cywilizacji jednak się nie

powiodła. Tropikalne choroby i agresywna postawa zdemoralizowanych wpływem białych i alkoholem krajowców zmusiły nowoczesnych Robinsonów do powrotu w cywilizowane strony. „Nie można kupić biletu do raju” — napisał później Heyerdahl w świetnej książce „Fatu Hiva”, poświęconej temu młodzieńczemu eksperymentowi. Ale rok spędzony na wyspach Oceanii nie poszedł na marne. Dokonane odkrycia archeologiczne grobowców, rzeźb i posągów bóstw oraz obserwacje przyrodnicze i językowe doprowadziły Heyerdahla do wniosku, że wyspy Oceanii zostały zasiedlone przed wiekami przez mieszkańców Ameryki Południowej, a nie Azji, jak wówczas powszechnie mniemano. Badania zagadkowych, olbrzymich posągów na Wyspie Wielkanocnej prowadzone przez Heyerdahla w późniejszych latach i opisane w kolejnej książce „Aku-aku” utwierdziły go w tym przekonaniu.

Przeciwnicy ogłoszonej przez Heyerdahla hipotezy wysuwali kontrargument, wydawałoby się nie do obalenia: Inkowie nie byli w stanie pokonać Pacyfiku, bo nie mieli odpowiednich statków, ich środkiem transportu wodnego były tylko prymitywne tratwy z drzewa balsa. Wówczas Heyerdahl zbudował taką tratwę i z kilkoma towarzyszami przepłynął na niej Pacyfik. Tę niecodzienną naukowo-żeglarską przygodę opisał w tłumaczonej na wiele języków i wielokrotnie wznawianej książce „Wyprawa Kon-Tiki”. Później Thor Heyerdahl postanowił udowodnić, że możliwe były w starożytności kontakty między Europą a Afryką czy Ameryką i przepłynął przez Atlantyk w łodzi z trzciny papirusowej, znów opisując wynik eksperymentu w książce „Ekspedycja Ra”. Jego najnowsza książka „Wyprawa Tygrys” opisuje eksperyment, który dowiódł ogromnych możliwości żeglugowych trzcinowej floty Sumerów.

Zarówno tratwa „Kon-Tiki”, jak i łódź „Ra” należą obec-

nie do najcenniejszych eksponatów; jakimi może się pochwalić Muzeum Morskie w Oslo, eksponujące je obok łodzi wikingów i statku Nansena i Amundsena „Frama”.

A teraz ten sławny Thor Heyerdahl siedział wśród nas na pokładzie „Pogorii” i opowiadał o swych pracach wykopaliskowych prowadzonych na Malediwach, a zmierzających do udowodnienia, że wyspy te pierwotnie zasiedlili mieszkańcy Cejlonu i Półwyspu Indyjskiego, wyznający hinduizm oraz buddyzm, i dopiero później religie te zostały wyparte przez islam przyniesiony na ostrzach mieczów arabskich zdobywców.

W poniedziałek 20 lutego po południu udało się wreszcie zatankować ostatnie pięć ton wody, załatwić formalności i nie upominając się o zarekwirowane kusze opuścić Male. Zasadniczo powinniśmy z tym poczekać do świtu, ale jeśli kapitan podjął decyzję wyruszenia w poniedziałek wbrew żeglarskiemu przesądowi, świadczyło to, jak bardzo naglił czas. Na Malediwach spędziliśmy łącznie dwadzieścia dwa dni i byliśmy mocno spóźnieni.

Pilotowałem statek, siedząc wygodnie na marsrei. Dźwięk syreny zmusił mnie do obejrzenia się na chwilę za siebie. To żegnał nas niemiecki szkuner, który za kilka dni też wybierał się do Europy, ale — jak później dowiedzieliśmy się — nigdy do niej nie dopłynął, spłonął i zatonął po drodze; załoga szczęśliwie się uratowała. Dalej widać było jak na dłoni kilka jachtów oraz częściowo spalony przez nie opłaconą załogę duży frachtowiec arabskiego armatora. Pracowite dhoni pod łacińskimi żaglami przecinały kotwiczowisko, wożąc do portu towary z rozładowywanych statków. Tego dnia woziły niewielkie japońskie ciężarówki.

Nocą kluczyliśmy wśród atoli, wykorzystując wszystkie

metody nawigacji, aż wydostaliśmy się na otwarty ocean. Następnym celem był Archipelag Seszeli.

16. SESZELE LEŻĄ JUŻ ZA RÓWNIKIEM

Żeglowaliśmy przez Ocean Indyjski prosto na zachód wzdłuż równoleżnika 3°30'N, aby uniknąć przeciwnego prądu płynącego trochę bliżej równika niż my. Czekaliśmy na północny wiatr obiecywany kapitanowi przez znajomego radioamatora, który żeglował nieco na północ od nas. Ale wiatr nie nadchodził. Nie odczuwało się też prawie zupełnie monsunu, a na pasat w tak bliskim sąsiedztwie równika nie było co liczyć. Z odbiorem oficjalnych komunikatów meteorologicznych też nie było w tym okresie najlepiej. Dotychczas odbiornik map pogody, bo tylko to źródło prognoz wchodziło w rachubę, obsługiwał Andrzej Makacewicz, a teraz obowiązek ten spadł na mnie i jeszcze nie zdążyłem dojść do wprawy. Płynęliśmy więcej na silniku niż na żaglach, a korzystając z łagodnej pogody, odprawiliśmy zbiorowo serię zaległych imienin, odbyło się też parę burzliwych rozmów na temat kiepskiej organizacji prac przy konserwacji statku, ale tematem numer jeden był zbliżający się...

Chrzest równikowy

Obowiązek zorganizowania chrztu spadł na Kaczory, które sądziły — i miały do tego prawo, zwłaszcza po wysłuchaniu i przeczytaniu jak to wspaniale było w antark-

tycznym rejsie — że zrobią to już ochrzczeni i doświadczeni członkowie kadry. A tu okazało się, że albo chłopcy sami przygotowują sobie chrzest, albo nic z tego nie będzie. Zależało im na właściwej oprawie uroczystości, wzięli się więc do pracy. Wyłonili komitet, który na podstawie szerokich konsultacji i studiów literatury przedmiotu zaczął szkicować scenariusz imprezy i rozdzielać role. Niestety dorośli wtrącali się, korygując fragmenty scenariusza i narzucając obsadę według własnego widzimisię. Słyszało się nawet niezbyt zawoalowane pogrożki, jak to wreszcie niektórzy dostaną za swoje podczas chrztu. Zanosilo się, że potoczy się to wszystko w niewłaściwym kierunku — toteż gdy Julek kierujący komitetem zwrócił się do mnie po radę i pomoc, wkroczyłem ostro. Powiedziałem, że nie dopuszczę do błędów i wypaczeń, przedstawiłem swój pogląd kapitanowi i... zostałem mianowany Neptunem. Kaczory też powiedziały, co myślały. Wypowiedziały się w ilustrowanej, ukazującej się poza zasięgiem wszelkiej cenzury „Gazecie Wielkich Hieroglifów”, którą co pewien czas anonimowy zespół redakcyjny wywieszał przy dziobowej zejściówce. Grupę zamieszkałych w Warszawie uczestników antarktycznego rejsu „Pogorii”, nazywaną dotąd „układem warszawskim”, teraz, tj. po odlocie Makacewicza, nazwano „bandą czworga”, moje imię napisano w postaci hasła: Ja Apokalipsa Cieszę się z Eksantarktycznej Korzącej się grupy, „Szkolę pod żaglami” przemianowano na szkołę nad silnikiem, a Drapelę „starszego nad kubrykiem” nazwano Drakulą Straszny nad kubrykiem.

Teraz wiadomo już było, kiedy osiągniemy równik, bo zrezygnowaliśmy z poszukiwania mitycznych wiatrów i pruliśmy najkrótszą drogą na Seszele. W dniu poprzedzającym przecięcie równika, już po ciszy nocnej, rozległ się straszliwy wrzask i na pokład wkroczył Tryton, czyli Sta-

szek Choiński w towarzystwie czterech diabłów: Geografa, mechaników Marka i Warka oraz Mirka Lasoty. Tryton wręczył kapitanowi ozdobny list Neptuna, zapowiadający rychłe jego przybycie, po czym nastąpiło stemplowanie neofitów, aby w dniu chrztu łatwo można było ich rozpoznać. Okazało się przy tym, że Przemek, zwany Cezarem, postanowił się nie dać. Zabarykadował się w klasie tak skutecznie, że diabły nie były w stanie go stamtąd wyciągnąć. Aby dać im szansę, wymknął się awaryjnym wyjściem i schował w pontonie. Gdy i tu go nie odnaleziono, ujawnił się i uciekł na fokmaszt. Tam wreszcie diabły dopadły go i sprowadziły na dół, wykrywając przy okazji na platformie marsa starannie zamaskowanego czwartego oficera. Stemplowanie potoczyło się dalej. Każdemu przykładano do czoła umoczoną w tuszu gumową pieczęć — wykonaną na pamiątkę chrztu przez obdarzonego nieprzeciętnym talentem plastycznym Julka Gojłę — i przybijano drewnianym młotem. Potem klęczący podczas tej operacji Kaczor był podrywany kopniakiem lub smagnięciem bata do postawy stojącej i na jego miejsce maszerował na kolanach następny.

Nie były to pieszczoty, bo Tryton i niektóre diabły przystąpiły do akcji w antrakcie imienin jednego z kolegów, odbywających się właśnie w kapitańskim salonie, i czasem zbyt gwałtownie wyładowywały skumulowaną w sobie energię. Kaczory zaczęły się bronić, doszło do szamotaniny, a Julek pchnięty na stalową listwę dość poważnie zranił sobie nogę. Stemplowanie zakończyło się uruchomieniem przez Kaczory hydrantu, z którego ostudzono diabły w ramach odwetu za fizyczne i moralne cierpienia.

Równik przekroczyliśmy nazajutrz, tj. 27 lutego 1984 roku, na długości wschodniej 58°10'. Na pokład przybył Neptun z całym swym dworem. Powitał kapitana, przypominając poprzednie z nim równikowe spotkania, i zajął miejsce na

dziobowej nadbudówce w towarzystwie Prozerpiny. Rola Prozerpiny przypadła Kaziowi Robakowi. Dla uniknięcia zbyt brutalnych scen podczas chrztu Neptun — pod pozorem ochrony dworu i kapitańskiego munduru przed nieodpowiedzialnymi wybrykami zdeterminowanych Kaczorów — wciąż gotowych do uruchomienia hydrantów i nie tylko do tego — rozkazał się obok siebie krewkiemu Trytonowi i najenergiczniejszemu z diabłów, czyli Geografowi. Nie bardzo przypadło im to do gustu, ale wola Neptuna jest święta. Dalszy przebieg ceremonii był już zgodny ze scenariuszem. Astrolog, czyli Bolo, stwierdził po dokonaniu odpowiednich pomiarów, że właśnie przekroczyliśmy równik. Wywoływał kolejno kandydatów do chrztu, kierując ich do lekarza. Wojtek Przybyszewski, bo to on celebrował tę funkcję, z dużym talentem badał pacjentów i starannie leczył. Każdy kandydat do chrztu był kładziony na metalowych szczelbach trapu, opukiwany młotem i wałkowany wałkiem do ciasta. Jednym stawiano bańki gumową przepychaczką do zlewu, innym robiono lewatywę lub płukanie jamy ustnej. Później lekarz zapisywał zwykle dalszą kurację: kąpiele borowinowe lub górskie powietrze. Kąpiele brało się w beczce po oleju z odpowiednio przyprawioną wodą, przy czym rozróżniano kąpiele oddolne, odgórne i całościowe. Górskie powietrze należało wdychać na dużej wysokości, wisząc na fale pod salingiem grotmasztu. Potem było przejście przez brzuch rekina, czyli pływanie pod prąd wody z hydrantu w przykrytym plandeką pontonie. Na końcu czekała jeszcze wizyta u fryzjera. Janusz Cieliszak golił, farbował włosy, robił makijaż, manicure, pedicure itd. Wyglądało to strasznie, ale farby używane przez fryzjera były farbami wodnymi i bez problemu dały się później usunąć. Po tych wszystkich cierpieniach należało się posilić specjalnie spreparowaną kanapką, podawaną osobiście

przez kucharza Arniego, no i popić ją kielichem nektaru będącego wyjątkowo ohydłą mieszaniną wody morskiej i maggi. Wówczas Prozerpina wystawiała jeszcze do pocałowania kolanko umazane czerwoną farbą i przepasane najezoną kołcami taśmą. Nie wszyscy garnęli się z entuzjazmem do złożenia tego hołdu i tych królowa przygarniała do swych kolan mocnym uściskiem ramienia raz po raz zanurzanego w kubelku z towotem.

Mówiąc o kanapkach, nie sposób przemilczeć zabawnej sytuacji, której bohaterką była Peggy, płynąca już drugi raz z nami uroczą angielską lady, będącą... emerytowanym oficerem Royal Navy; oficerskie szlify zdobyła w bojowych rejsach podczas II wojny światowej. Chrzest organizowany na „Pogorii” nie obowiązywał Peggy, gdyż nie pierwszy raz przekraczała równik, a chrzest przeszła nie na byle jakim statku, bo na amerykańskim żaglowcu „Romance”. Nie wiem, jak ten chrzest wyglądał, ale jestem pewien, że spożywanie równikowych kanapek nie wchodziło tam w skład listy tortur, bo zgłodniała Peggy, nieświadoma tego, co czyni, sięgnęła w pewnej chwili po kanapkę i najspokojniej w świecie ją zjadła. Patrzono na Peggy ze zdumieniem, ale żaden mięsień nie drgnął na jej twarzy. Wobec tego Arni zaproponował drugą kanapkę. Peggy nie odmówiła i tę też zjadła z apetytem. Ktoś nie wytrzymał i zapytał:

— Jak ci smakują kanapki, Peggy?

— Bardzo dobre, chociaż może troszeczkę za ostre — odpowiedziała Peggy i nie mogła zrozumieć, dlaczego wszyscy się śmieją.

Po ochrzczeniu Kaczorów przyszła kolej na dorosłych. Przeszedł krzyżową drogę astrolog, diabeł, fryzjer, kucharz, a na końcu sam Neptun, który później szybko się umył i znów wcielił w swoją rolę, zatwierdzając uderzeniem

trójzęba w ramię nowe, morskie imiona nadane ochrzczonym.

W sumie chrzest równikowy był świetną zabawą i z pewnością jednym z najsympatyczniejszych wydarzeń tego rejsu. Oprócz wspomnień pozostały dyplomy oraz koszulki z okolicznościowym nadrukiem wykonane na specjalne zamówienie w Male, a zaprojektowane przez Julka Gojłę.

Następnego dnia kadre czekała jeszcze jedna miła impreza. Był nią uroczysty obiad, podany wyjątkowo w klasie i spożywany tylko w gronie dorosłych, wydany z okazji urodzin Walerii i pożegnania Peggy, która za kilka dni miała się z nami rozstać. Choć kadra stawiała się w pełnej gali, atmosfera była swobodna. Złożono życzenia, wygłoszono przemówienia, wręczono upominki, wzniesiono toasty.

A przed nami były już...

Seszele

Jest to archipelag około stu wysp rozciągających się między 3 a 10 stopniem szerokości południowej oraz 46 i 56 stopniem długości wschodniej, czyli na ogromnym obszarze Oceanu Indyjskiego, na północ od Madagaskaru. Piękne, góryste wyspy są pokryte przebogatą, tropikalną zielenią. Większość z tych wysp to stare jak sama Afryka wierzchołki podwodnego łańcucha gór, zwanego Grzbietem Seszelskim, ale są też wyspy pochodzenia wulkanicznego oraz typowe koralowe, przy czym jeśli już mowa o koralach, to zbudowane z nich rafy występują tu przy każdej wyspie bez względu na jej rodzaj. Mniej więcej połowa wysp jest zasiedlona przez 60–65 tysięcy mieszkańców o różnym kolorze skóry, jednak z przewagą ciemnego, co tłumaczy historia archipelagu.

Archipelag Seszeli został odkryty przez Vasco da Gamę w czasie jego podróży, jaką odbył w latach 1497–1499, szukając drogi do Indii. W 1501 roku Seszele można było już oglądać na portugalskich mapach. Pierwszy wylądował na nich don Pedro Mascareguas w 1505 roku, a w roku 1609 bawiła na nich brytyjska ekspedycja East India Company pod wodzą Aleksandra Sharpeigha. Wyspy były bezludne i nie podejmowano prób ich zasiedlenia aż do roku 1741, kiedy to wicehrabia Mahe de Labordonnais, francuski gubernator wyspy Mauritius, wysłał ekspedycję, która zajęła archipelag w imieniu króla Francji i w ciągu trzech lat zakończyła w zasadzie jego kolonizację, sprowadzając czarnych niewolników. Na cześć przedsiębiorczego gubernatora wyspom nadano nazwę Bourdounais, a największą z nich nazwano Mahe. Ta ostatnia nazwa utrzymała się do dziś, natomiast całemu archipelagowi nadano w 1756 roku nową nazwę od nazwiska jednego z ówczesnych francuskich ministrów, wicehrabiego Moreau de Seychelles. W 1810 roku wyspami zawładnęli Anglicy i ugruntowali swą obecność na mocy traktatu paryskiego z 1814 roku. Do roku 1903 Seszele były zależne od gubernatora wyspy Mauritius, która również przeszła w ręce Anglików. Później stanowiły osobną kolonię, która następnie stała się członkiem Commonwealthu, aby wreszcie uzyskać niepodległość. Nastąpiło to całkiem niedawno, bo w 1976 roku. Nowo powstałe państwo było republiką, w której działały dwie partie polityczne, a na czele państwa stał prezydent. Pierwszy prezydent Seszeli okazał się typowym playboyem, przebywał wciąż za granicą w towarzystwie gwiazdek ekranu i napełniał własną kiesę kosztem interesów państwa. Wykorzystując jego kolejną nieobecność w kraju, partia opozycyjna zorganizowała rewolucyjny przewrót, w którego wyniku zmienił się prezydent, rząd i konstytucja. Obecnie jest tylko jedna partia,

a panujący ustrój przypomina nasz. Miejscowa ludność mówi językiem, który jest mieszaniną zniekształconego francuskiego i angielskiego. Językiem urzędowym jest angielski, ale do dobrego tonu należy znajomość francuskiego. Ludność, w większości kolorowa, czerpie dochody przede wszystkim z turystyki, ale obecnie trwa proces upaństwowiania hoteli i wpływy gwałtownie się kurczą, gdyż spada poziom usług. Sporą część dochodów czerpie państwo z połowów ryb, eksportu kopry, guana, cynamonu, herbaty i orzechów kokosowych. Rosną tu największe na świecie orzechy coco de mer o wadze dochodzącej do kilkudziesięciu kilogramów. Cena jednego orzecha wynosi kilkadziesiąt dolarów. Ostatnio wydajność plantacji i eksport wyraźnie zmalały.

Stolicą kraju jest położone na przepięknej wyspie Mahe kilkunastotysięczne miasteczko Victoria, zaskakujące imponującą liczbą mieszczących się tu i zatrudniających liczny personel ambasad, wśród których reprezentowane są wszystkie wielkie mocarstwa. Staje się to jednak zrozumiałe, jeśli przeanalizować strategiczne położenie Seszeli na drodze wielkich tankowców z Zatoki Perskiej oraz sąsiedztwo baz wojskowych obu nieufnych wobec siebie potęg świata.

Seszele osiągnęliśmy po dziewięciu dobach żeglugi przez prawie pusty ocean. Od wyjścia z Male spotkaliliśmy zaledwie dwa statki.

Na kilka godzin przed „zaoczeniem” — jak to powiadają żeglarze, a nawet zapisują w dzienniku okrętowym — Seszeli ujrzałem daleko po lewej burcie coś jakby łamiące się fale przyboju, a przecież tu nie powinno być żadnych skał ani płycizn. Staranna obserwacja przez lornetkę pozwoliła wyjaśnić to zjawisko. Ogromne stado delfinów baraszkowało w wodzie, robiąc wrażenie fal rozbijających się o mieliznę.

Wieczorem, w ostatnich godzinach lutego rzuciliśmy kot-

wicę z daleka od portu Victoria, nie chcąc po ciemku lawirować między skałami. Pod prawym salingiem grotmasztu wisiała własnoręcznie wymalowana przez nas flaga Seszeli, bo gotowej nigdzie nie mogliśmy kupić. Początkowo potraktowano nas podejrzliwie. I nic dziwnego, zważywszy, co zaszło tu przed kilku laty.

Wydarzenie, o którym mowa, miało miejsce już po obaleniu pierwszego prezydenta, który — rzecz jasna — chciał odzyskać władzę i miał poparcie rządów niektórych państw. Scenariusz tego wydarzenia mógłby autorowi znanej powieści „Psy wojny” posłużyć do napisania kolejnego bestsellera.

Na stadionie w Victorii miał się odbyć mecz piłki nożnej między reprezentacją Seszeli a zagraniczną drużyną. Propozycja meczu przyszła z zagranicy, a że miała w sobie spory ładunek propagandowy — typu „dopiero nasz rząd zdołał dźwignąć poziom narodowego sportu na takie wyżyny, że wzbudził on zainteresowanie na świecie i oto po raz pierwszy w historii Seszeli rozegrają międzynarodowy mecz, itd.” — więc została przyjęta. Swą obecność w honorowej łóży zapowiedział nowy prezydent, a w ślad za nim cały rząd i wszyscy dostojnicy państwowi. W dniu poprzedzającym mecz na lotnisku wylądował samolot wiozący kilkudziesięcioosobową ekipę piłkarzy — młodych, silnych, wysportowanych, dobrze wyszkolonych i gotowych na wiele za duże pieniądze. Jednym słowem, była to grupa najemników, którzy za jednym zamachem unicestwiliby zgromadzonych na stadionie przedstawicieli władzy, a obecny na meczu tłum mógłby od razu zaakceptować nowy kształt politycznych przemian. Na wszelki wypadek kilkunastu wcześniej przybyłych niby-turystów miało za zadanie obstawić kilka nerwalgicznych punktów w mieście, jak poczta, lotnisko itd. Plan pewnie by się udał, gdyby nie wścibski celnik, który

odkrył podwójne dno w walizce jednego z piłkarzy, a tam... pistolet maszynowy. Zrobiła się mała strzelanina, zginęło parę osób, a pseudopiłkarze widząc, że wszystko się wydało, odlecieli tym samym samolotem, którym przylecieli.

A teraz do Victorii przybył ogromny jacht z kilkudziesięcioma młodymi ludźmi na pokładzie, którymi kierowało kilkunastu trochę starszych. Nie mieliśmy za złe miejscowej władzy przesadnej ostrożności. Gdy przekonano się, że nie mamy na pokładzie ani jednego komandosa, przyjęto nas bardzo gościnnie. Natychmiast znalazło się miejsce przy zatłoczonej kei, abyśmy zatankowali wodę i paliwo. Zorganizowano nam wycieczkę autokarami po całej wyspie. Mogliśmy z bliska podziwiać jej wspaniałą, bujną przyrodę, sycić oczy bajkowymi krajobrazami, zwiedzać plantacje herbaty, kosztować korę drzew cynamonowych, które tworzą tu całe zagajniki, zachwycać się bambusowymi lasami, oglądać drzewa, z których po skaleczeniu wypływa sok czerwony jak krew.

Kaczory obwieziono po terenach morskiego rezerwatu łodziami posiadającymi szklane dna, a nawet pozwolono tam nurkować. Zaproszono nas również na pobliską wyspę św. Anny, gdzie mieści się obóz młodzieżowy zorganizowany na wzór kubański. Kilkaset dziewcząt i chłopców spędza tu dwa ostatnie lata szkoły średniej, ucząc się równocześnie rolnictwa, warzywnictwa, różnych rzemiosł i czynności gospodarczych oraz przechodzi przeszkolenie ideologiczne. Młodzież podzielona jest na kilkudziesięciuosobowe grupy, z których każda mieszka w osobnym dużym budynku, mieszczącym klasę, kilkuosobowe sypialnie, kuchnię, magazyn, świetlicę, jadalnię itd. Młodzież sama przygotowuje posiłki, sprząta, uprawia ogród warzywny... Każdy, kto ukończy obóz, potrafi samodzielnie postawić sobie dom, zbudować meble, a uprawiając kawałek pola — wyżywić się.

Odwiedziny rodziców są tylko raz w miesiącu. Uczestnictwo w obozie jest bezpłatne i dobrowolne, ale bez przejścia przez obóz nie można studiować na miejscowej politechnice, będącej de facto czymś w rodzaju wielobranżowego (od ekonomii do elektroniki) technikum pomaturalnego. Dlatego chętnych na obóz jest więcej niż miejsc. Podobno przez Wyspę św. Anny przewija się dziewięćdziesiąt pięć procent seszelskiej młodzieży, ale liczba ta wydaje się być mocno przesadzona. W każdym razie nasi gospodarze wciąż rozbudowują obóz i twierdzą, że ta forma kształcenia oraz wychowywania zdaje egzamin i dobrze przygotowuje do warunków wyspiarskiego życia.

Oprócz systemu edukacji mogłem też zapoznać się z systemem administracji i muszę stwierdzić, że działa on sprawnie, szybko i rozsądnie, życzliwie traktując petenta. Przekonałem się o tym pomagając Wojtkowi Przybyszewskiemu w załatwieniu formalności paszportowo-celnych oraz starając się o zgodę na odwiedzenie wyspy Aldabry, czy pożyczając z kapitanatu bez żadnych problemów jedyny na Seszelach komplet „Notice to Mariners”, konieczny do uaktualnienia naszych map, spisów świateł i listy sygnałów radiowych. W sumie odwiedziliśmy kilka różnych urzędów. Wszędzie załatwiano nasze sprawy szybko i uprzejmie. Tylko w jednym miejscu musieliśmy poczekać kilka minut, ale i tak czas się nie dłużył, gdyż w poczekalni wyłożono do dyspozycji petentów stos pism i książek w języku francuskim oraz angielskim, jak „Sowietskaja Żenszczina”, „Historia nauki rosyjskiej” itp.

Wracając na jacht, spotkaliśmy dwóch Polaków, którzy odwiedzili „Pogorię” zaraz po jej przybiciu do kei, ale wówczas było tyle pilnych spraw, że nie zdążyliśmy nawet z nimi porozmawiać. Teraz nadarzyła się okazja. Siedzieliśmy na tarasie największej kawiarni w Victorii, sącząc

orzężwiająca oranżadę „made in Seychelles” i gawędzi-
liśmy. Obaj panowie reprezentowali drugie pokolenie pol-
skiej, wojennej emigracji. Na stałe zamieszkivali w Republi-
ce Południowej Afryki, a w Victorii spędzali urlop. Dlaczego
właśnie tu? Bo lubią kolorowe dziewczyny, które na Sesze-
lach są śliczne i niebywale przystępne, a w RPA — apart-
heid.

I to był jedyny polski ślad na Seszelach, pracowicie
i z zapałem wykuwany przez dwóch rodaków, bowiem
faktu, że ambasador amerykański w Victorii pracował po-
przednio w służbie dyplomatycznej w Warszawie, do poloni-
ków zaliczyć nie można, a „Pogoria” była bezsprzecznie
pierwszym polskim jachtem, jeśli w ogóle nie pierwszą
polską jednostką, jaka zawinęła na Seszele.

Wieczorem kadra bawiła na kolacji wydanej na jej część
przez likwidującego już interes właściciela jednego z luksu-
sowych hoteli, a Kaczory podobno szalały w dyskotecie
z ciemnoskórymi pięknosciami. Piszę „podobno”, bo nie
widziałem, akurat wypadła mi służba. Ale nie narzekałem.
„Pogoria” po zatankowaniu wody i paliwa musiała odejść od
kei i stanąć na kotwicy, by zrobić miejsce następnemu
statkowi. Kotwica trzymała mocno, a przypadkowi goście
nie zawracali głowy, mogłem więc spokojnie dokończyć
poprawiania pomocy nawigacyjnych, a nawet starczyło
czasu na obejrzenie programu seszelskiej telewizji. Nadawa-
no właśnie kolorowy film z życia radzieckich marynarzy.

Czas pobytu na Seszelach zbliżał się do końca. Byliśmy
gotowi do drogi i czekaliśmy tylko na Karmenę, która miała
wrócić z kraju po odwiezieniu operowanego Marka. Wie-
dzieliśmy już, że Marek doleciał szczęśliwie, że jest w szpita-
lu, a jego życiu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Wie-
dzieliśmy też, że Karmena transportująca samotnie skrzynię
z odesłanym z Malediwów i naprawionym już radarem,

utknęła gdzieś na wschodnim wybrzeżu Afryki, bo LOT
sprzedał jej bilet na nie istniejący samolot i nie mogła
pokonać ostatniego odcinka podróży, a na kupno drugiego
biletu zabrakło jej pieniędzy. Wreszcie po telegraficznym
przesłaniu potrzebnej kwoty Karmena znalazła się znów
wśród nas, przywożąc wieści z kraju i torbę listów.

Karmena na „Pogorii” była wręcz niezbędna. Potrzebo-
waliśmy jej jako oficera, nauczycielki niemieckiego oraz
członka załogi, który dzięki dużemu autorytetowi, uczciwej,
prostolinijnej postawie i głębokiej kulturze potrafił zapobie-
gać wielu nieprawidłowościom, a zaistniałe prostować i rów-
noważyc własnym przykładem. Karmena była również ko-
nieczna jako lekarz. Wymagało tego...

Zdrowie załogi

Było z nim nie najlepiej. Liczne otarcia i skaleczenia,
będące ubocznym plonem nurkowania na rafach, w następ-
stwie zakażeń koralowych przekształcały się w ropnie i czy-
raki, które nie goiły się tygodniami. Leczeniu nie sprzyjały
tropikalne warunki: wilgoć, temperatura oraz ograniczenia
słodkiej wody do mycia. Gdy obok tych, zdawałoby się
drobnych dolegliwości, pojawiły się infekcje wirusowe przy-
wlekane z lądu i urazy wynikające z pracy na pokładzie lub
w maszynie, bywało, że połowa załogi była niezdolna do
pójścia na reje.

— Hospital ship — lapidarnie skomentowała kiedyś ten
stan Waleria.

Rzeczywiście rano i wieczorem ustawiały się do Karmeny
kolejki pacjentów, oczekujących na oczyszczenie wrzodów
i zmianę opatrunków. W ciągu całego rejsu udzieliła ona
ponad 2300 porad, co daje przeciętnie więcej niż 6 pacjentów
dziennie.

Ciekawe, że dorośli rzadziej mieli kłopoty ze zdrowiem niż młodzież. Można by to tłumaczyć tym, że chłopcy częściej byli narażeni na urazy, bo w przeciwieństwie do instruktorów nurkowali bez ochronnych skafandrów. Ale wśród dorosłych dała się zauważyć niepodważalna prawidłowość: im ktoś był starszy, tym odporniejszy pod każdym względem: i fizycznym, i psychicznym.

Oprócz rutynowych porad lekarskich Karmena prowadziła badania naukowe, wykonywała w trakcie żeglugi okresowe analizy moczu, mierzyła i ważyła Kaczory, sprawdzała ich wydolność fizyczną, regulowała podawanie witamin i leków antymalarycznych, badała wodę, starała się wpływać na jadłospisy i ilość oraz jakość zakupowanego prowiantu, w portach prowadziła chorych do specjalistów. Wstawała codziennie przed pobudką, by mierzyć chłopcom tętno i temperaturę podczas ich snu. Nigdy nie słyszałem, że jest zmęczona.

W poniedziałek 5 marca rano opuściliśmy gościnną wyspę Mahe, ale bez zamiaru ostatecznego pożegnania Seszeli. Zamierzaliśmy odwiedzić jeszcze jedną wyspę, położoną na południowym skraju archipelagu i odległą od Mahe o około 700 Mm. Jej nazwa, przekreślona natychmiast przez Kaczory na Algebrę, brzmiała Aldabra. W drodze na Aldabrę mieliśmy okazję obserwować ciekawe zjawisko, jakim jest trąba wodna. W odległości 1—2 Mm od „Pogorii” wysuwał się z morza wirujący słup wody i ginął w chmurze. Szerszy u podstawy, zwężający się w środku wysokości, u góry znów zwiększał średnicę, ale w mniejszym stopniu. Wyglądało to tak, jakby niebo chciało wypić ocean. Kapitan kazał na wszelki wypadek zejść z fokmasztu pracującym tam ludziom i wziąć na gordingi, czyli sprzątnąć foka. Trąba

potąńczyła trochę, zataczając niewielkie kręgi, nie zdradzała jednak chęci zbliżenia się do jachtu, a w końcu popędziła z wiatrem i zniknęła nam z oczu.

Kolejnymi przeszkodami na szlaku „Pogorii” były dwie nieoświetlone wysepki: Marie Luise i Ile de Neufs. Tak się złożyło, że trzeba było mijać je w nocy. Kapitan chciał początkowo zrzucić żagle i okrążyć wyspy szerokim łukiem na silniku, ale dał się przekonać do pozostania przy żaglach i przyjęcia kursu zapewniającego kilkumilowy margines bezpieczeństwa. W końcu mieliśmy SAT-NAV, określoną dewiację, łagodną pogodę, a mijanie wysp przypadło na mojej wachcie — obiecałem szczególnie uważać. Bardzo przydałby się radar, ale nic z tego. Radaru — który Makacewicz zabrał do kraju i oddał tam do reperacji, a Karmena przywozła z powrotem — nie udało się nam uruchomić, mimo że włożyłem w to razem z Warkiem sporo pracy. O świcie ujrzeliśmy na prawym trawersie w odległości pięciu mil Marie Luise, a dalej na południe widniały dźwigi statku, który rozbił się o rafy Ile de Neufs.

Tydzień po opuszczeniu Victorii na widnokręgu znów ukazał się łód. Była to...

Aldabra

Największy na świecie atol. Jego wewnętrzna laguna o kształcie przypominającym elipsę ma w przybliżeniu wymiary 5 na 15 Mm. Jest on rezerwatem żółwi, ptaków i ryb. Liczbę żyjących tu żółwi szacuje się na 100—150 tysięcy, podczas gdy populacja tych zwierząt na słynnych wyspach Galapagos wynosi tylko 10 tysięcy. Co ciekawe, na Aldabrze żyją również żółwie lądowe. Jak one się tu dostały? Tę i inne zagadki stawiane przez przyrodę stara się rozwią-

zać przebywających tam kilku białych naukowców i kilku nastu ich ciemnoskórych pomocników. Wolno im łowić ryby, hodować świny i korzystać z rosnących na wyspie owoców. Raz na trzy miesiące przyływa stateczek z zaopatrzeniem. Innej komunikacji z cywilizacją nie ma.

Uzyskanie zezwolenia na odwiedzenie Aldabry nie było proste. Negocjacje ułatwiło to, że wyspa znajduje się pod patronatem ONZ, a żaglowiec „Szkoly pod żaglami” też zawsze podnosił pod salingiem flagę Narodów Zjednoczonych. Pomogło i to, że z wyspą kontaktowano się tylko cztery razy w roku.

— A czy moglibyście zabrać na Aldabrę niewielki ładunek? — zapytał ważący decyzję urzędnik; zresztą Japończyk.

— Oczywiście — odpowiedziałem.

W ten sposób „Pogoria” stała się na kilka dni frachtowcem, zabierającym na Aldabrę skromny ładunek: farby, dyktę, plastikowe rynny itd. Płynęliśmy wzdłuż brzegów wyspy, wypatrując miejsca do lądowania. Nie było to trudne, bo dysponowaliśmy dokładną mapą atolu nabytą w Victorii oraz wskazówkami, które uzyskałem od starego żeglarza; spotkanego w klubie żeglarskim na wyspie Mahe. I mój rozmówca, i locja nie radziły wpływać do laguny, chociaż było to możliwe. Z uwagi na rafy i silne prądy nie podjęliśmy takiego ryzyka. Podczas gdy Kaczory przewiezione dużą łodzią należącą do przybyłych na „Pogorię” naukowców-Robinsonów, buszowały po wyspie, żaglowiec dryfował w pobliżu, trzymając się w bezpiecznej odległości od rafy. Kotwiczenie nie wchodziło w rachubę — poza rafą, za głęboko, w jej obrębie za płytko.

Kaczory spędziły na wyspie kilka interesujących godzin, chłonąc cuda nie skażonej cywilizacją przyrody, nurkując, oglądając pracownie badaczy i... jeżdżąc na ogromnych

żółwiach. Po powrocie opowiadali swoje przygody, jak to Szymek potulnie ustąpił z drogi wojownicznemu krabowi, natomiast Maja — znany z tego, że mógł spać w najbardziej nawet niesprzyjających okolicznościach — goniony w czasie kąpieli przez czterometrowego rekina obejrzał się i ziewnął przy tym od ucha do ucha, a rekin... zwiął, gdzie pieprz rośnie. Sergiusz z kolei — zawołany ornitolog — relacjonował oczywiście, jakie tam spotkał fregaty, głuptaki, ibisy.

Pobyt na Aldabrze był wspaniałą lekcją biologii i geografii. Żałuję, że ominęła mnie ta lekcja, ale kapitan rozkazał, abym został na jachcie, chociaż nie miałem w tym czasie wachty. Powiedział, że na wypadek nagłej zmiany pogody musi mieć pod ręką kilku komandosów do dyspozycji. W ten sposób awansowałem na komandosa, tuż przed ukończeniem pięćdziesiątki. Swoją obecność na jachcie uważałem za całkowicie zbędną, ale przedyskutować można, a nawet trzeba propozycje bądź poglądy, natomiast polecenia i rozkazy wykonuje się bez komentarza.

Z własnej woli pozostało na jachcie dwóch chłopców: Krzysztof Grubecki i Maciej Mierzwinski. Namawiałem ich, by popłynęli na wyspę, ale oni mieli zaległości w nauce i chcieli się uczyć. Świadczy to o wysokich wymaganiach naszej szkoły. Krzysiek Grubecki oderwał się jednak na pół godziny od nauki i zrobił wszystkim na obiad pyszne grzanki na słodko.

Myślałem, że koledzy będą mogli przywieźć przynajmniej tym, którzy pozostali jakieś ciekawe eksponaty na pamiątkę, bo piękne muszle i żółwie skorupy tysiącami walały się tam na plaży. Nie przywieźli. Nie było wolno. Ścisły rezerwat. Przywieziono tylko na moją prośbę trochę białego, koralowego piasku. Z jego pomocą zamierzaliśmy zwykłą farbę do malowania pokładu zmienić na przeciwślizgową.

Po południu „Pogoria” eskortowana przez stado wielorybów opuściła Aldabrę.